Nr. 7. Kraków, 15 Sierpnia 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 zlr. — ct., kwart. 2 zlr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartał. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie, we Lwowie zaś: Skład główny w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. —

CORAZ NAM SMUTNIEJ!

(Ustęp z wiersza, poświęconego Zygmuntowi Rewkowskiemu, ostatniemu z profesorów b. Uniwersytetu wileńskiego).

Coraz nam smutniej!... Z wiekowych dzieł drzewa
Wciąż liść za liściem upada na ziemię,
A wiatr je zimny w ciemną otchłań zwiewa....
Dzień nasz posępny w wiecznym mroku drzemie....

Nad nami chmury, pod nami przepaście,
I cienie ojców odchodzą w żałobie....
A duch zły woła: „Wszystkie światła gaście!“
Gnijcie na wieki w beznadziejnym grobie!

I czasem tylko pyta boleść blada:
Czy nigdy szczęście już nie zmartwychwstanie?
Na krzyk rozpaczny — cisza odpowiada,
I dreszcze trwogi, i niemocy łkanie.

Witelion. *)

ELIZA ORZESZKOWA

STUDYUM

PRZEZ

J. NITOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Powieść „Na dnie sumienia“ należy rozpatrywać, jako galeryę typów niepowszednich, wielce oryginalnych a doskonale przez autorkę uchwyconych. Obok Ewy, Honoraty, Anatola i starego Suszyca, widzimy tu hr. Horskiego, świetnie oddany typ człowieka uczonego i zacnego, ale marzyciela; następnie typ skończonego hultaja w sobie Rycza, maniaka Walerego, wreszcie kilka charakterystycznych postaci córek i synów Suszyca. Wszystko to są ludzie pomimo całej swej oryginalności bynajmniej nie wymarzeni i możliwi tylko w wyobraźni pisarzy; przeciwnie: widzimy w nich ludzi z krwi i ciała, ludzi z wadami i zaletami, jednostki mniej lub więcej zwichnięte, ale naturalne, istniejące w świecie rzeczywistym, nie zdradzające bynajmniej tej ostateczności, w jaką często wpadają bohaterowie i bohaterki autorów, nie odznaczających się zbyt wielką zdolnością subtelniejszego analizowania ducha ludzkiego i nie umiejących podpatrywać ludzi w każdej okoliczności życia.

*) Pod pseudonymem tym ukrywa się, z łatwo zrozumiałych powodów, zaszczytnie znany poeta. (Przyp. Red.).

Taką samą galeryę typów, całkiem atoli innego pokroju, są „Pompalińscy“, jedyna powieść Orzeszkowej, mająca na celu sfery arystokratyczne. Wprawdzie już w „Pamiętniku Wacławy“ mamy wybornie skreślonych kilka typów wielkiego świata, następnie w „Pierwotnych“ widzimy wyśmienitą postać wiecznie przesiadującej za granicą arystokratki, są to atoli typy dorywczo skreślone, nie składające się jeszcze na uwydatnienie idei głównych i racyi bytu tej warstwy społecznej. Dopiero w „Pompalińskich“ widzimy obszerniej skreślony obraz arystokracyi rodowej i kwestyę jej istnienia w przyszłości.

Bohater powieści „W klatce“ jest człowiekiem, u którego jedno silne płomienne uczucie miłości indywidualnej może stłumić wszystkie inne uczucia, przepalić je i w razie zawodu złamać go lub zabić. Taki tragiczny koniec czekał Lucyana. Poznawszy piękną kobietę imieniem Klotyldę, zwaną dla swej zmiennosci w uczuciach Kameleonem, rozgorzał ku niej gorącą miłością, a gdy po krótkim czasie dowiedział się, że jego ukochana jest już zaręczoną z innym, odrazu upadł zupełnie na duchu, w ciągu dni kilku stał się ruiną człowieka, którego dobija jedno jeszcze silniejsze wzruszenie na widok Klotyldy doznane. Topolski w „Pompalińskich“ dwukrotnie strasznym ciosem rażony, powstał i, nic nie straciwszy na swej mocy duchowej, dalej poszedł przez życie, bo miłość do kobiety nie była jedynem jego uczuciem, głuszącem wszystkie inne. Lucyan umarł, bo uczucie swe zamknął „w klatce“, bo nie umiał w swej piersi zestrzelić pragnień innych, nie umiał na niebie swego życia rozpalić tej jasnej gwiazdy, której cechą jest nieśmiertelność i która ludziom dobrej i silnej woli świeci przez całe życie.

Przechodzimy teraz z kolei do dwóch trzytomowych powieści Orzeszkowej, które ze względu na wykonanie artystyczne i na przewodnią myśl, w nich zawartą, do rzędu nietylko najlepszych prac autorki, ale i najcelniejszych w ogóle dzieł w beletrystyce naszej zaliczyć wypada. Są niemi: „Rodzina Brochwiczów“ i „Nad Niemnem“.

Pierwsza z nich potrąca o jedną z najżywotniejszych kwestyj naszego społeczeństwa, wynikłą po reformie włościańskiej — o kwestyę pracy około utrzymania własności ziemskiej.

Pan Jan Brochwicz, obywatel wiejski z okolic Wilna, człowiek starej daty, nawykły do łatwego systemu gospodarowania z czasów pańszczyzny, po uwłaszczeniu włościan nie umie żadną miarą pogodzić się z nowym porządkiem rzeczy i po kilku najniefortunniejszych próbach, jak n. p. sprowadzanie Niemców kolonistów do uprawy roli, uznaje w sobie zupełną niezdolność dalszego prowadzenia gospodarki. Pomimo znacznie uszczuplonych i z każdym dniem zmniejszających się dochodów z majątku — państwo Brochwiczowie, mówiąc wprawdzie wiele o konieczności ograniczania się w wydatkach, nie zmieniają bynajmniej dawnego

trybu życia i nawet na zimę wyruszają na mieszkanie do Wilna, co oczywiście nadzwyczajne za sobą pociąga rozchody. Brochwicz opuścił całkowicie ręce, a włażąc powoli w długi, gospodarstwo zdał na rządzcę, człowieka uczciwego wprawdzie, ale jak i sam pryncypał, nie umiejącego zastosować się do nowych wymagań, i całą nadzieję poprawienia pogarszającej się sytuacyi położył w synu swoim Maryanie. Gdy starzy nie mogą poznać nowego prądu i dać sobie rady wobec innych zgoła warunków bytu, tak odmiennych od tych, wśród których wzrośli, pewnie młode pokolenie zdoła przełamać przeszkody, nagiąć się do nowych wymagań teraźniejszości i zabezpieczyć przyszłość dla siebie. Czy owi młodzi mają dostatecznie sił potemu i w jaki sposób wezmą się do tego zadania, nie usiłuje nawet poznać pan Brochwicz; słowami „może dzieci nasze“ kończy wszelkie swoje rozmyślania o jutrze, które dla niego pozostaje ciemnem, niepojętem. Niestety! „dzieci nasze“ zawodzą oczekiwania ojców. Maryan, chłopiec bez gruntowniejszego wychowania, przyzwyczajony do próżniaczego i wygodnego życia, nie ma żadnego pojęcia ani o pracy, ani o obowiązkach społecznych. Lada przeciwieństwo zniechęca go, zmusza do opuszczenia rąk i niszczy wszelke nadzieje w piersi młodzieńca, przywykłego żyć dotychczas w zupełnej bezczynności. Maryan w poczuciu własnej niemocy wpada najpierw w śmieszny pesymizm, któremu podlegają zwykle istoty słabej woli i głowy, a następnie pod wpływem niefortunnie zawartego małżeństwa z osobą niekochaną rzuca się w wir życia hulaszczego i śladem złotej młodzieży używa d z i ś, nie wierząc w j u t r o. Wzruszającą i tragiczną nawet, jest chwila, w której stary Brochwicz, stojąc w ukryciu, słucha, jak w sali restauracyjnej syn jego w gronie przyjaciół, wśród brzęku kielichów głosi nowe teorye swoje na gruncie pesymizmu wyrosłe, a niszczące wszystkie świetne nadzieje, jakie dotychczas ojciec pokładał w synu. — Tak, panowie, — woła coraz bardziej zapalając się Maryan — pomimo protestacyj waszych, które zresztą, jestem pewien, czynicie więcej żartem niż seryo, powtarzam: chore są gwiazdy przeznaczeń naszych. Nic nie szkodzi; przy suchotniczym ich blasku możemy jeszcze czas jakiś bawić się wesoło. Gdzieindziej ludzie spierają się tylko o wybór pomiędzy przeróżnemi gwiazdami, które świecą nad drogami ich życia, to wyżej, to niżej, lecz zawsze ciągną ich za sobą, jak, ongi słup ognia i dymu ciągnął ku nowej ojczyźnie lud Izraela“.

Tak mówi człowiek, w którym stary ojciec najdroższe swoje nadzieje pokładał! Czyż to nie straszna ironia? Takich to słów wysłuchał Brochwicz, który niedawno jeszcze, oświadczając się pani Natalskiej w imieniu syna o rękę jej córki Tośki, tem zakończył swoją przemowę: „Ja, i pani, i wszyscy równi nam wiekiem i położeniem, przebyliśmy od lat kilku smutne koleje, ciężkie zmiany i niebezpieczeństwa. Cierpieliśmy i cierpimy jeszcze... nauczyliśmy się drżeć o byt nasz... ale mamy dzieci — jest to pociecha nasza i nadzieja. Jeżeli popełniliśmy błędy jakie, one naprawić je powinny i pogodzić się z nowemi okolicznościami“ (t. 2, str. 86). Zawód nastąpił straszny. Po powrocie z restauracyi w rozmowie z żoną pan Jan poraz pierwszy w życiu może zadał sobie pytanie, jak wychowywał syna. „Bóg mi świadkiem, że czyniłem dla niego wszystko, co mogłem i umiałem. Ale musiałem coś zaniedbać, o czemś zapomnieć“.

Nad rodziną Brochwiczów zaciężyła niby klątwa jakaś; nietylko sam Maryan zawodzi nadzieje rodziców; jedyna ich córka Żańcia wkrótce potem daje się wykraść; pokryjomu bierze ślub z pseudo-muzykiem Wąsikowskim, znakomicie przez autorkę skreślonym typem zapoznanego artysty, pyszałka, głupca i próżniaka.

Widzimy więc, że w „Rodzinie Brochwiczów“, obok powyższej głównej idei, występuje i druga jeszcze idea wielkiej wagi, źródło wszelkiego zła — wadliwość wychowania. Maryana nie nauczono pracować i cenić kawałka ziemi ojczystej, nie wyrobiono w nim hartu ducha i silnej woli; Żańci nie nauczono żyć i myśleć samodzielnie, starannie ukryto przed nią istotne potrzeby życia i obowiązki kobiety, a obojgu dzieciom nie wszczepiono poczucia obowiązków ogólnoludzkich i prawdziwych uczuć obywatelskich.

Obok tej strasznej rany społecznej, tej ciemnej strony naszego społeczeństwa, postawiła Orzeszkowa drugą jasną, jako przeciwieństwo do pierwszej i przykład do naśladowania. Jest to obraz pracy cichej i łamania się życiem rodziny Siecińskich po utracie majątku. Z rozległych dóbr Siecina zdołano uratować tylko maluczki kawałek ziemi, na którym liczne rodzeństwo, złożone z czterech braci i trzech sióstr Siecińskich, żadną miarą wyżywić się nie może. Więc starszy brat Stefan wyjeżdża do Wilna, gdzie po długich zabiegach i staraniach, postanawia jąć się handlu i zakłada niewielki na początek sklepik, poczem gdy brat młodszy pozostał przy swej gospodarce wiejskiej, sprowadza resztę rodziny do siebie.

Dwaj nieletni bracia poczęli uczęszczać do szkół, a siostry jęły się pracy zarobkowej, każda wedle sił swych i zdolności. Prawdziwym klejnotem całej rodziny jest tu najstarsza siostra Anna, opiekunka młodszego rodzeństwa, kierująca całem kobiecem gospodarstwem Stefana. W niej dała nam Orzeszkowa wzór kobiety, obdarzonej wielką siłą woli, kochającej, zdolnej dla rodziny i idei do wielkich poświęceń i jakkolwiek bez wyższego wykształcenia, umiejącej zdrowo i racyonalnie pojmować potrzeby życia, wymagania czasu i obowiązki własne. Podobnym zupełnie do Anny jest Stefan i właśnie ci dwoje ludzi, po stracie przez rodziców majątku, z wielką energią rozpoczynają nowe życie na innem polu, pojmując dokładnie doniosłe znaczenie obranej przez się drogi i przez ciągłą pracę, kierowaną rozumnie, zapewniają byt niezależny całej rodzinie.

Drugą powieścią, najbardziej spokrewnioną z „Rodziną Brochwiczów“ przez podobieństwo tendencyi, jest trzytomowa powieść p. t. „Nad Niemnem“, której główną ideę widzimy w fakcie połączenia się węzłem małżeńskim Justyny, córki obywatelskiej, z Janem Bohatyrowiczem, należącym do sfery uboższej szlachty zaściankowej, nad Niemnem. Osnową opowiadania jest stosunek dworu do zaścianka i dokładna charakterystyka obu tych światów. Pierwszy z nich, świat obywatelski, którego wyobrazicielem jest dwór Korczyński, rozpada się na dwie połowy: do jednej należą przeważnie typy ujemne o przestarzałych przekonaniach kastowych, próżniacy, nawykli żyć bez pracy fizycznej i umysłowej lub karyerowicze, poświęcający najdroższe uczucia ludzkie dla dostojeństw i grosza; ludzie, pozbawieni tej wielkiej miłości, co w piersi jednostek zestrzela bole i radości ogółu, a żyjący tylko w sobie i dla siebie, słowem morituri, obcy nowym potrzebom czasu i nowym jego ideałom. Do takich postaci, skreślonych przez autorkę po mistrzowsku, należy najpierw żona właściciela wioski Korczyna, Benedykta Emilia Korczyńska, histeryczka, marzycielka i próżniaczka, niezdolna nawet ocenić ciężkiej pracy męża około roli, a wiecznie wzdychająca do wymarzonych ideałów; następnie bogaty trzydziestoletni młodzieniec Różyc, który, zakosztowawszy wszystkich, przyjemnostek życiowych, stał się w tak młodym wieku starcem z wystudzoną piersią, niezdolną żadnym silniejszym ogniem zapłonąć; dalej Zygmunt Korczyński, syn nieżyjącego Andrzeja, brata Benedykta, pseudo-malarz, a w istocie lichy dyletant, który, otrzymawszy w spadku majątek ojca, nie wziął po nim, niestety, i jego oczuć obywatelskich, pomimo wszelkich starań matki, usiłującej w duszę syna przelać ideały ojcowskie. Dlaczego tak się stało? Odpowiedzą na to własne słowa pani Andrzejowej: „Mówiłam ci wprawdzie o tej miłości zawsze, wiele, ale słowa — to, widać, siew nietrwały. Zbłądziłam“. Syn, nieumiejętną ręką kierowany, stał się kosmopolitą i, zwąc ojca szaleńcem i szkodliwym członkiem społeczeństwa, oświadcza matce, że

gdy bank rozbity doszczętnie, idzie grać przy drugim stole. Straszna ironia! Zygmunt Korczyński i Maryan Brochwicz, należą do jednej kategoryi ludzi bez przyszłości i bardzo są pod wielu względami podobni do siebie. Obok tych typów widzimy w dalszym ciągu kilka mniejszego znaczenia w powieści, jak n. p. ex-obywatel Orzelski, ojciec Justyny, pieczeniarz Kirło i t. d. (C. d. n.)

MIESZCZANIN POLSKI XVII WIEKU.

Pamiętnik Jana Golliusza mieszczanina polskiego (1650—1653), z autografu, wydał i wstępem poprzedził Józef Kallenbach. Kraków 1891, str. 53.

Habent sua fata — i manuskrypta. Zkąd w British Museum znalazł się kodeks, zawierający między innemi pamiętnik mieszczanina polskiego z Zamościa, jest rzeczą ciekawą, ale i nie zbadaną. Znakomity bibliofil angielski, Hans Sloane, posiadał ten rękopis już przed rokiem 1753, a ponieważ zbiory głośnego bibliofila przeszły na własność Anglii, przeto państwo Trzech Królestw jest dziś posiadaczem owego „*Silva rerum*“, podobnego do tysiąca innych z wieku XVII i XVIII, a różniącego się tylko tem, iż zbieracz i przepisywacz wkleił do niego także urywek swego pamiętnika.

Jan Golliusz był synem, Niemca osiadłego w Zamościu. Ojciec odumarł go za młodu, a matka dozwoliła żądnemu wiedzy synowi udać się na naukę do uniwersytetu w Lipsku. Bawił tam przez dwa lata i powrócił do Zamościa w czerwcu 1652 r. podczas wojen kozackich. Z początku bakałarzował, później po śmierci matki udał się do Lwowa, szukając zajęcia. Jakiś pan Berny „zmówił go na inspekcyą do syna swego“, z którym w sierpniu znowu zawitał do Zamościa. Tu kończą się jego pamiętniki, ale w kodeksie wyszukał jeszcze wydawca kilka szczegółów do życia autora. Dowiadujemy się z nich, iż pałał „affektem życzliwym“ ku pannie Katarzynie Buzewiczównie, które to affekty doprowadziły go do ołtarza w roku 1666 w Kiejdanach na Żmudzi. „Kasieńkę“ swoją kochał, czego dowodem wiersze przed i po ślubie do niej pisane. Zkąd się wziął na Żmudzi i co tam robił, nie ma śladu w rękopisie. Notatka ostatnia jest napisana w roku 1689.

Najciekawszą częścią pamiętników Golliusza jest jego pobyt w Lipsku. Wprawdzie zwyczaje uniwersyteckie i życie burszowskie są dostatecznie znane, jednak opowiadanie o nich współczesnego świadka posiada pewną wartość. Nasz autor wyjechał do Lipska z p. Hasem, handlarzem wołów z Zamościa. Droga trwała niemal „sztyry Niedziele“. Z Lipska zrobił z Hasem wycieczkę do Bursztetu, gdzie Hase posprzedawał swoje woły, i pozbył się zegarka, który mu razem z kontuszem Golliusza ukradziono. Na Uniwersytecie wpisał się autor „Pamiętnika“ do nacyi „*Silesia*“, do której należeli Węgrzy, Polacy, Szlązacy i Czesi; prócz tego były jeszcze dwie nacye: *Saxonica* i *Misnica*. Zanim wpisał się do „*Album studiosorum*“ nazywano go jak wszystkich innych „*Fuchsem*“ a po wpisaniu „*Penalem*“. Taki „penał“ przez cały rok był rodzajem jakby „probanta“; nie wolno mu było nosić wstążeczek ani u kapelusza, ani u butów i sukien, a co najgorsza nie mógł przed żadną białogłową ani panną zdejmować kapelusza, a broń Boże z nią rozmawiać. Wobec studentów był prostym sługusem; musiał przed nimi świece nosić, częstować ich, nalewać im piwa do szklanek, za co, jeżeli to niezdarnie czynił, studenci go besztali, a nawet „dawali i w gębę“. Ciekawy jest opis uroczystego akcesu do nacyi, która kosztem penalów piła i bankietowała. Oprócz miesięcznych wkładek w ilości $22^1/_2$ groszy polskich, musiał penał na początku dać kilka „talarów“ a oprócz tego przy różnych okolicznościach jeszcze się okupywać, tak n. p. za pierwszą wstążkę do kapelusza należał się studentom złoty polski. Kiedy rok od wpisania się w „album“ już dochodził, na dwa tygodnie przed jego upływem odbywał się tak zwany *Absolvirschmauss* kosztem naturalnie penała. Lubo go już za „*bursza*“ uznano, jeszcze do ostatniego dnia roku musiał się wysługiwać i nalewać piwa. W rocznicę wpisania się do nacyi wciągano go do drugiego „albumu“ i wolno mu już było ubierać się według upodobania. Nastepuje opis praw pojedynkowych studenckich, obioru rektora, promocyj, kollegiów i karceru studenckiego, zwanego „*Templum*“.

Z początku mieszkał Golliusz u jakiegoś piekarza, ale poźniej przeprowadził się do kolegi Jana Radockiego, szlachcica ze Szląska. Zawiązał także stosunek znajomości ze Stefanem Starczewskim ze Sieradza, ale był to „chłop bardzo fałszywy, y nie szczyry a po prostu y Magnesowaty“, a ponieważ był „magnesowaty“, przeto poczciwemu Golliuszowi „Seneca y inne xięgi poprzepadali“. Pod dniem 4 września zapisuje Golliusz przejście na luteranizm szlachcica polskiego Abrahama Rosnowskiego, który zmianę religii uważał jako dobry interes, był bowiem „piniądzmi uwiedziony“, a później wyraził się: „gdyby mi Papież tysięc czerwonych y drugi przysłał, jabym znowu Catholikiem był“, Pod dniem 23 tegoż miesiąca jest opis promocyi sześciu doktorów teologii, po której rozdawano wszystkim obecnym w podarunku rękawice. Doktoraty te oblewano przez trzy dni z rzędu, a ofiarą ich był student Hybler, który idąc pijany po schodach „kark nadłomał“. Autor zapisując ten fakt, dodaje: „Pijaństwo, przypatrz, co umi, *o tetrum, o abominandum!*“

Stosunki z ziomkami nie były dla Golliusza bardzo wesołe. Skarzy się przeto na nich i wynosi się nawet od przyjaciela Radockiego. Niedługo potem ów Radocki narobił strasznej awantury. Wypiwszy z innemi kilka garcy wina, „wykrzykując y turniruiąc wyszedł na miasto w Ulicę Haterstrase, gdzie naywięcej grzecznych panien mieszka“. Przez tąż samą ulicę przechodziła druga banda studentów, w równie wesołem usposobieniu. Rezultatem była bijatyka i śmierć jednego z burszów. Radocki z drugim kolegą, okuci w łańcuchy, siedzieli ćwierć roku w więzieniu, płacąc dwom stróżom po 6 złp. na tydzień. Ponieważ jednak nie wiadomo było, kto właściwie zabił owego studenta, przeto sprawę zatarto.

28 maja 1652, wyjechał Golliusz z Lipska z tymże samym Hasem, który omal we Wrocławiu nie pobił się z jakimś doktorem Curtiusem, a to „dla grubych i Cuiańskich (łajdackich, hultajskich) iego obyczaiów“. 17 czerwca stanął Golliusz zdrów w Zamościu.

Następują wzmianki o morowem powietrzu, o przyjęciu pana starosty Kałuskiego i t. d. 14 listopada powierzyła Golliuszowi do nauki pani Bergmanowa Krzysię „córkę Dobrodzieja X. Daniela, tylko że tępa bardzo w tych rzeczach była“. Na Boże Narodzenie zachorowała matka autora Pamiętnika i zmarła w marcu 1653 r. „w kwandrans przed jedenastą przed północkiem“. Pochowana została na cmentarzu przy Farze „podle Brata swego Nieboszczyka Matiasza Bergmana“. Stroskany syn w dniu pogrzebu „zrzuciwszy niemieckie szaty Polską żałobę przyoblókł“. Brata Samusia odwiózł do Lublina pan Abramowicz na naukę złotnictwa, a siostrę Anusię zabrała pani Gutowa.

Wzmianki o pożarach, o wycieczkach autora w okolice, o promocjach bakałarzów w Akademji Zamojskiej, poprzedzają wyjazd Golliusza do Lwowa, gdzie stanął gospodą na przedmieściu Halickiem. W miesiąc później był Golliusz świadkiem wjazdu J. K. M. do Lwowa, który też pokrótce opisuje. 30 czerwca widział wjazd drugi, a mianowicie przybycie „*cum summa festivitate ac sollennitate*“ posła moskiewskiego, którego witał Jmp. Czarnecki Obożny.“

Jeszcze jest parę wzmianek o „sławnej pamięci Katarzynie Gordonowej“, o ślubach osób znaczniejszych, o postawieniu kościoła w Radzieńcinie, o Trybunale w Zamościu,

o spaleniu na stosie podpalaczki, o śmierci doktora Szulca, który „ludziąm wiele pomagaiąc y zdrowia pilnuiąc, samemu sobie nie mogąc radzić koniec swey uczynił Medicinie" — i oto już cała treść Pamiętnika Jana Golliusza. Nie przynosi on nic nowego dla dziejów, ale bądź co bądź jest oryginalny i ciekawy, już przez to samo, że odsłania nam nieco stosunki i życie drobnego mieszczaństwa polskiego.

Wydawca rękopisu Golliusza wyjął jeszcze kilka jego własnych utworów poetyckich i fragment jakiegoś dramatu wierszem, w którym występują Mars, Justitia, Misericordia, Pestis, Fames i dwóch Comesów. Rymy samego Golliusza są naturalnie słabe, lubo nie odstają zbytecznie od całego potopu wierszydeł owej epoki. Owszem przyznać im należy język czysty, wolny od makaronizmu. Po wierszach przytacza jeszcze wydawca list Golliusza zapraszający przyjaciół na ślub z Buzewiczówną, spis dni niebezpiecznych, formularz wekslowy XVII. w., parę anegdot, napis łaciński na nagrobek żony i Jana Ciołka, „Raki na wety pp. żołnierzom" po elekcyi Sobieskiego i wreszcie „*Descriptio Variarum Nationum*".

Wydanie swoje kończy dr. Kallenbach opisaniem całego manuskryptu Golliusza, za co, jak i za przepisanie i ogłoszenie Pamiętnika, należy mu się szczere uznanie.

K. Bartoszewicz.

HENRYK IBSEN W OSTATNIM SWYM DRAMACIE.

I.

Był czas, kiedy Ibsen szedł śladem Goethego, a jego bohaterowie tworzyli ciekawy ów gatunek ludzi, który Spielhagen nazywa *Faustuli Posthumi.* W *Brandzie*, *Cesarzu* i *Galilejczyku* odzywała się ta sama myśl, co i w dzisiejszych jego dziełach, ale odziana w formę szeroką, myślicielską; dramat ludzkości całej szalał w piersi jednostki. Było to głębokie, wysoce poetyczne ale mało efektowne, to też o Ibsenie wiedzieli coś owoś i mówili jedynie rodacy jego.

Gdy jednak później odgadł, że hasłem poezyi naszego wieku jest teatr, swojego ćwieka rozpowił z osłonek filozofii i ubrał w sukienkę sceniczną — zagrzmiała fanfara sławy i okrzyczano go tragikiem przyszłości, sztuki jego na wyścigi zaczęto przedstawiać, o każdej nowej pisać, jako o literackiem *evénément,* różne partye i obozy społeczne widziały w nim zwiastuna swoich ideałów, a krytycy jęli unosić się nad mistrzowską robotą sceniczną.

Czy zmienił się w czemkolwiek ćwiek poety? Bynajmniej. Ot zniknął po prostu pod grubą warstwą akcyi i dyalektyki teatralnej A ogół w swem służalstwie dla Ibsena, zachwytach i objawach solidarności opierał się na własnym błędzie. Myli się bowiem Brandes, nazywając jego technikę znakomitą, — jest ona często naciąganą; myli się liczny ród społeczników, wmawiając mu, że głosi socyalizm. Prawda, że Ibsen zarówno w *Nieprzyjacielu ludu* jak i *Podporach społeczeństwa*, gorąco i silnie broni praw stanu czwartego, ale to tylko *jedna z wielu* jego tendencyj. Czy traci on na tem, czy zyskuje, to inna rzecz, ale nie wolno brać ułamka za całość.

Ibsen pozostał takim, jakim był od samego początku. Jego indywidualność pisarska nie przychyla się ani na stronę nowego kierunku w teatrze i żadnej „nowej szkoły" nie tworzy, ani na stronę socyalizmu, ani reform w urządzenia małżeństwa, jak chcą inni, ani wreszcie ku jakiemuś pesymizmowi. Jego ćwiek, jego myśl zasadnicza, dziwnie stała i wierna sobie, daje się wyłowić w całej swej pełni tylko z pomocą pierwszych jego, bardziej oderwanych utworów; kto zna tylko *Norę* albo *Dziką kaczkę,* ten nie pojmie go.

Na tem miejscu nie chcemy bynajmniej myśli owej łowić. Praca to dłuższa. Dajemy tylko jej gotowy kryształ, którym według nas jest: *wolność woli* stanowi niezbędny warunek szczęścia ludzkiego. Nie o wolność chodzi w sensie odwiecznej zagadki filozoficznej tak zwanego *liberium arbitrium,* ale o to, żeby człowiek był czynów swych świadom i stanowił dla siebie samego sąd, któryby w potrzebie, t. j. gdy podsądny zasłuży na to, umiał skazać go na pokutę, na śmierć nawet. Ludzie Ibsena są tym gatunkiem, co to w razie zbrodni, lub małości ducha, czują nad sobą fatum; nad nimi wisi w powietrzu spełnione zło i choć nieraz daje im spać, to jednak nie daje szczęścia, póki równowaga moralna nie zostanie wróconą. Nora musi się z mężem rozłączyć nie dla takich powodów, jak wiarołomstwo, lecz że *bezwiednie,* w nieświadomości prawa i etyki, popełniła błąd. Z chwilą, gdy jej otworzyły się oczy, nie chciała żyć dłużej w *niewoli błędu*, rozłąka z mężem była wybawieniem, które autor w tak świetny umotywowawszy sposób, takim otoczył urokiem, że widz filister ani się spostrzega, iż ma przed sobą gorszącą, jak mówi zwykle opinia, separacyę.

Konsul w *Podporach* cierpi i dręczy się mimo swe łotrowskie zuchwalstwo, aż naraz zrzuca z siebie kłamstwo i zdradę, jak łachman brudny, ciska ludziom w twarz ich kadzidła dla możnego występku, w którym sam grzązł i staje się szczęśliwym przez wolność i prawdę. W *Rosmerholmie* są szalone miłości, ale że w nich ukrywa się pamięć występku, więc nikt spokoju nie zaznaje; skrzywdzona wola sama sobie sprawiedliwość wymierza.

I tak samo w *Upiorach* t. j. złych duchach przeszłości i wszędzie.

Dzika kaczka była dla ibsenistów niespodzianką. Wbrew bowiem dotychczasowemu morałowi, wykrycie dawno zapomnianego grzechu gra rolę śmieszną, doktrynerską, jest pseudo idealizmem, który ktoś w dramacie radzi nazwać zwyczajnie: głupotą, albowiem zdruzgotała ona spokojny byt ludzi przeciętnych, niezbyt drażliwych. Ibsen, drwi tam sam z siebie, ale szyderstwo to nie wydaje nam się szczerem. Ostatni akt mówi raczej, że nie wszyscy są o tyle silni, ażeby módz dostąpić wyzwolenia.

Następny dramat, *Pani z morza* potwierdza taki pogląd, owszem zyskuje mu nową racyę. Bo oto już nietylko szczęście zbudowane na niewoli jest jako owoc robaczywy, lecz i *cnota,* na posłuszeństwie głosowi obowiązku oparta — jest dziurawa wewnątrz. Gdyby Ellida — tu pozwolę sobie odesłać czytelnika do recenzyi z tego dzieła, drukowanej przezemnie swego czasu w *Świecie* — została przy mężu przez wdzięczność za doznane łaski i wychowanie, albo pod wpływem namowy odegnała od siebie czarowne widmo dawnego kochanka — niewola i kłamstwo trwałyby. Ale ona, mając ludzkie i litościwe pozwolenia męża, nagle, jednym rzutem *wyzwala się* i zostaje przy nim. Żyją więc na nowo — odrodzeni duchem, on nie zadał jej *gwałtu,* ona *gwałtu* nie zadała sobie.

Oto jak się dotąd rozwijała idea Ibsena.

Nie znając jako tako tła ogólnego, niepodobna byłoby przeniknąć tajników ostatniej jego książki: Heddy Gabler. Choć, doprawdy wskroś dyalektyczna jego poezya wypuszcza z siebie, jak winograd, setki łątów i skrętów, nad któremi trzeba nieraz głowę łamać, mimo zupełną ze wszystkiemi dramatami poufałość.

Hedda Gabler jest to kobieta wykolejona, chociaż świat ma ją za najszczęśliwszą pod słońcem, zazdrości jej, winszuje i t. d. Tymczasem męża swego ona nie kocha, wyszła za niego z kaprysu, odbywa z nim podróż poślubną z musu, bliskość jego znosi z konieczności, buntując się wewnętrznie okropną myślą! wiecznie żyć z tym samym i nie módz być samą! A przecież mąż jej to nic byle kto — to aspirant do katedry dziejów cywilizacyi, człek uczony i pracowity i młody. Ale cóż, kiedy głowę ma ograniczoną, widnokrąg ciasny, szpera w rękopisach i papierach dla samej idei i przyjemności łykania pyłu bibliotecznego. A tu jak na złość zjawia się dawny jej przyjaciel: Eilert Lövberg, również uczony, ale

głowa szeroka, twórczy umysł, usposobienie cygańsko-pijackie, żywy kontrast Tesmana. Uprawia on tę samą gałąź wiedzy — dzieje oświaty i wydaje pracę, która w całem mieście robi wrażenie wystrzelonej bomby, wszyscy bowiem mieli go dawno za upadłego moralnie. Co było między nim a Heddą, trudno wiedzieć dokładnie, autor pokrywa ich dawny stosunek tajemnicą, w której to jest pewnem, że się mieli ku sobie, a nadto ona groziła mu rewolwerem. Bronią tą pieści się Hedda ciągle, niby ukochaną zabawką. Chętnie też poigrałaby z Lövbergiem, ale w granicach cnoty, jak ognia bowiem boi się ona skandalu; rada nawet rozgrzebywać iskry w stosie popiołu, ale — paluszków oparzyć ani osmarzyć sobie nie chce. Nie pozwala sobie nawet mówić „ty“.

W każdym razie męką jest dla niej człowiek tak różny od jej męża pod każdym względem, bo i nieporządny, gdy tamten punktualny i stanowczy w każdym calu, i genialny, i gorący — nie mierzyn świąteczny. Dręczy ją tem bardziej, że on cząstkę swego ducha oddał innej kobiecie, Thei Elvsted. Thea uciekła od męża, brutala i samoluba, i pragnie żyć z Eilertem, powodowana nie miłością, do której nie jest zdolna, ale współczuciem, uznaniem, szczerą przyjaźnią i może potrzebą opieki. Pragnie go ocalić od zguby, stłumić w nim nałóg pijacki, pomaga mu w pracy, czuwa nad nim jak siostra i w naiwnej samowiedzy swych zasług zwierza się przed Heddą, że go „inspiruje“. Ta uśmiecha się z ukrytą ironią, ale fakt faktem, który potwierdzają własne słowa Lövberga: „ona mię inspiruje“ — powiada wyraźnie i daje namacalny dowód w postaci drugiego tomu swego dzieła, który lada dzień drukować już zacznie.

A więc ta gąska ograniczona, to „głupie jagnię“ jak mówi Hedda, jest potroszę matką duchowego dziecka Eilerta; na czem jej udział w poczęciu zawisł, czy pomagała szukać w źródłach, czy dodawała otuchy i wytrwania — to mniejsza; dosyć, że oną dziecię kocha jak swoje.

Na to oburza się duma kobiety, która takiem dzieckiem pochwalić się nie może, mimo, że więcej by nań zasługiwała swą inteligencyą; zżyma się dusza wykolejona, której wydarto miłość i cel życia; miota się kochanka, bo jej ideał śmie nie należeć do niej w całości, wyłącznie; budzi się tygrysi instynkt własności, samica samca mieć nie chce i nie może, ale innym samicom wara od niego.

Tym sposobem prawdziwą osią dramatu staje się... rękopis. Czytelnik doszedłszy do tego miejsca, odgadnie łatwo, że Hedda radaby tę sól gryzącą ze swego oka wydostać, choćby przyszło oko zranić... Z taką porażką sromotną w rachubach życia ona pogodzić się nie może.

Traf przybywa jej z pomocą. Tesman z przyjacielem swym sędzią Brackiem, który radby wraz z nim i Heddą utworzyć „trójkąt“, ale musi się zadowolnić rolą „koguta w koszu“, bo ona mu zbyt blisko podchodzić nie pozwala — mają się zebrać na pohulankę (na naszej scenie zagrają pewnie winta) tego właśnie wieczoru, kiedy z zapowiedzianą pierwszą po powrocie wizytą ma się zjawić Eilert Lövberg. Panie postanawiają zatrzymać go przy sobie; zwłaszcza „inspiratorka“ ani myśli o tem, żeby chciał iść na bibkę. To grozi niechybną recydywą nałogu! Przynoszą poncz, gospodyni częstuje nim... Lövberg odmawia; ona staje się natarczywą.

— Więc nie mam już nad panem żadnej władzy — biedna ja.

— W tym względzie nie.

Nowa, choć drobna porażka. Hedda zaczyna podrwiwać sobie z jego obawy, świadczącej, iż nie czuje się pewnym; drażni jego miłość własną djablemi podstępami i w końcu znagla do wychylania paru szklanek. I ostatecznie Lövberg musi, jeśli dba o dobrą sławę mężczyzny, iść na pijatykę. Ma wszakże wrócić rychło by odprowadzić do domu swego anioła stróża, panią Elvsted.

Minęła noc, kobiety wciąż czekają. Rano zjawia się Tesman i wzruszony opowiada swej żonie, że Lövberg wracając pod dobrą datą, uronił po drodze rękopis. Szczęściem on, Tesman, podniosł go ale nie mógł przecie wrócić właścicielowi w takiej chwili, ani też obrażać go uprzytomnieniem hańby, tkwiącej w tej lekkomyślności.

Hedda udaje, że delikatne owe skrupuły podziela, ale bierze manuskrypt na przechowanie do siebie. Po chwili, gdy Tesman wyszedł do konającej ciotki, zjawia się jak upiór Lövberg i krzyczy, że zabił, nie, gorzej, zgubił własne dziecko swoje. Cierpi on teraz katusze rozpaczy, bo wie i uświadamia sobie, że poniósł śmierć cywilną, powtórną i ostateczną.

Hedda słucha spokojnie tych rozdzierających serce żalów. Ona ma w głowie plan gotowy. Chytrze wymogła na mężu swym zapewnienie, że nikt o wypadku nie wie. Nawet przed dobrym swym duchem Lövberg kłamie, że rękopis sam podarł.

— Tak — mówi do pani Elvsted — na tysiąc kawałków i rozproszyłem je po morzu — het daleko. Tam jest w każdym razie świeżej wody poddostatkiem. Niechaj popłyną. Niech je porwie wicher i fala. A po chwili zanurzą się. Głębiej, coraz głębiej. Tak samo, jak ja, Thea...

— Ale jak mogłeś — to przecie i moje dziecię!

Hedda to słyszy. „Natchnienie“ już nie kłuje, ale wyżera jej oczy, mózg...

Po chwili, gdy się znalazła samą — wzięła jednę część manuskryptu i z rozkoszą furyi przyglądała się płomiennym językom, które go chłonęły w piecu.

— Teraz palę twoje dziecię, Theo! Ty, ze swemi kędziorami (rzuca jeszcze parę zeszytów w piec) Twoje i Eilerta Lövberga dziecię (rzuca resztę). Teraz palę — teraz palę twoje dziecko.

Przedtem jeszcze, żegnając skazańca, dała mu na drogę jeden z pary pistoletów, któremi ustawicznie igrała. Wkrótce też nadchodzi Brack i przynosi wieść o jego śmierci. Hedda chociaż chwyta szczegóły opowiadania, upaja się myślą, że przecież raz doczekała się czynu, bohaterstwa, ale ta słodycz zamienia się w jad obrzydzenia, bo kula trafiła nie w pierś ale w brzuch, a nadto broń znaleziono w kieszeni; nie mogło więc to być samobójstwo, lecz albo prosty przypadek albo morderstwo, popełnione przez śpiewaczkę, do której Lövberg przyszedł, by zrobić jej awanturę. Przekonany był bowiem, że ona to w nocy wykradła mu jego skarb, jego życie. A więc mniemane piękno rozwiało się.

Brack tryumfuje. Ma on teraz Heddę w swojej mocy; od niego przecie zależy wyśpiewać albo przemilczeć pewne okoliczności, jak n. p. pochodzenie pistoletu, a ona śmiertelnie boi się skandalów. Nie wątpi wcale, że będąc już jedynym w koszu kogutem — gdy domniemanego rywala zbrakło — dożyje lepszych czasów...

— A więc zależna od pańskiej woli i pragnień — woła Hedda. — Niewolnica! Niewolnica zatem. Tej myśli ja nie zniosę, nigdy!

Tymczasem pani Elvsted wraz z Tesmanem mozolą się nad zesztukowaniem kawałków notat, któremi nieboszczyk posługiwał się przy pisaniu swego dzieła.

Hedda bawi się z nią, jak kot z myszą. „Czyż nie cudowne — Theo, teraz oto siedzisz z Tesmanem całkiem tak samo, jak przedtem siedziałaś z Lövbergiem?“

— Ach, mój Boże, odpowiada zagadnięta, gdybym też i twojego męża tak natchnąć mogła.

— O, i to przyjdzie z czasem.

Ironia i humor towarzyszą jej bezustannie. Z pobocznego pokoju, dokąd udała się, by spocząć po bezsennej nocy, szpilkuje Bracka, pewnego zwycięstwa. Nagle rozlegają się dźwięki szalonej muzyki do tańca. Tesman błaga ją, zdziwiony nie na żarty, żeby zaprzestała gry w tak niestosownej chwili. Umawia się z panią Elvsted, że zrobią sobie pracownię u ciotki, a Brack będzie wieczorami bawił Heddę.

Hedda z oddali zgadza się i zgodę swą pieczętuje w połowie zdania — hukiem wystrzału. Gdy przybiegli, leżała już martwa.

Cezary Jellenta.

CÓRKA LEŚNEGO.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

WISŁAWA.

(Ciąg dalszy).

— To lubię! — Nie w ciemię bity chłopak! — śmiał się pan Dolicki tak serdecznie i wesoło, że aż mały Justyś, przytulony do dziadusia, zaczął klaskać w maleńkie dłonie. Umysły były podniecone dzięki troskliwej opiece gospodarza i wprawie w kunszcie kulinarnym gospodyni, która zakłopotana możliwą katastrofą w kuchni, brała dotąd mały udział w rozmowie. Dopiero po podaniu kutii, ugarnirowanej orzechami, odetchnęła swobodnie i poufnie zaczęła się użalać przed kolatorem — na szczupłą pensyę syna przy poczcie, na awans powolny, drożyznę i różne kłopoty gospodarskie.

Nie psuło mu to wcale humoru. Każdy gorętszy wybuch zbywał żarcikami, raz po raz trącając się z jegomością kieliszkiem; „Koby łycha ucznaty„. — Chciał nawet zaintonować „Pije Kuba do Jakuba!“ — ale ksiądz z całą grzecznością przerwał mu kolendę: „Radost' nam sia zjawiaje“ ze względu na dzień uroczysty, Narodzenia Pańskiego.

Powstał gwar, szmer i szelest, jak ongi w Betleemskiej stajence, kędy pasterze przynosili rzekome „owce, kury, kozlęta, skopy i barany“. Dzieci zaświeciły drzewko, zrywając mimochodem najlepsze cukierki i łakocie, przygłuszając szczebiotem dźwięk kolendy. Młodzi panowie w akompaniamencie łupali orzechy. Starsi wybijali takt rękami.

Helusia śpiewała czystym głosem. I na nią gorąca atmosfera zaczęła pewien wpływ wywierać. Z poważnego zakroju pieśni pobożnych przeszła do weselszych. Od tych znowu do światowych; aż zakończyła trywialną kołomyjką:

Małam ja myłoho z czornymy oczyma.
Koby kraśnijszy byw — tom ho namoczyła.
Koby byw kraśnijszy — tom ho namoczyła.
Moknyj-że myłeńki, try dny i try noczy.
Może ty wymoknut twoi czornyj oczy.

Nie dosłuchała jednak komplimentu z jakim wysunął się pan Karol, Parieńka bowiem przestraszona wpadła z oznajmieniem, iż wzywają jegomości do umierającej Matrony u Wasyla leśnego.

— Cóż jej się nagle stało? — chórem spytano.

— Neszcziastie! — odpowiedziała biedaczka i jęła opowiadać urywanymi frazesami, bez związku, o Warwarce, która sama przyszła, o knyszach kapuścianych, jakie warzyli, o poście.

— Palnąć ją tęgo z boku — rzekł pan Dolicki — i po wszystkiemu.

— Spróbuję.

— Zostań jegomość z nami. Nauczyciel wprawny w podobne manipulacye. On to sam zrobi.

— Może istotnie potrzebuje kapłańskiej pomocy — bronił się gospodarz — pójść muszę.

— W nocy! po śniegu! wertepami! Bój się ksiądz Boga!

Ale ksiądz, właśnie dlatego, że się bał Boga, przeprosił gości najpokorniej i wziąwszy z sobą Kalitę, udał się za Warwarką.

— Ładna bestyjka! — rzekł potem pan Dolicki, siadając przy kieliszku — żałuję, że niedałem jej swego wina na rozgrzanie. Zmarznąć musiała!

— Nie pije — odparła księdzowa — chciałam ją właśnie poczęstować miętówką. Tak się przelękła!

Warwarka w ciemnej jubce świątecznej, smukła i kształtna wyglądała na tle białego śniegu, niby jakieś ziemskie zjawisko, urocze i wspaniałe. Wątpię jednak, czy który z jej towarzyszy to zauważył, naraz bowiem wyrwani z przyjemnej atmosfery pokoju, z pośród zabawy, światła i woni, byli jeszcze pod silnym wpływem uciech.

Szli w milczeniu. Kroki ich odbijały się głuchem echem w kotlinach i parowach. Czasem śnieg głośniej zaskrzypiał. Czasem z pod nóg się usunął.

Naraz ksiądz nie mogąc zda się zdążyć za dziewczyną zagaił?

— Nie bałaś ty się tak iść sama?

Warwarka zdziwiona, obróciła się w połowie. Blask małej latarenki, którą w ręku trzymała, jasną smugą twarz jej oświecił.

— Ja? Czegożby? — spytała nawzajem.

— No — choćby tego złodzieja, który wam las pustoszy.

O! złodziej mi nie straszny! — odparła prędko, stukając mimowoli kijem po śniegu.

— Może to duch? — na którego masz słowa odszeptywania? — spytał nauczyciel żartobliwie.

Drgnęła.

I on sobie jeszcze śmie podrwiwać! On, dla którego sprzeniewierzyła się ojcu rodzonemu i ulubione wychowanki zostawiła niepomszczonymi! — Tego było za wiele.

— Nie — odcięła też, jak nożem. — Szepty dobre są dla starych znachorek, co siedzą na przypiecku, ja w lesie wychowana, kijem sobie radę dać potrafię.

— Nie poszlakowaliście nikogo? — badał ksiądz.

— Tak jak nie — odparła wymijająco przejednana milczeniem nauczyciela.

— Szkoda! Psotnik to wielki! Ojciec strasznie się gryzie. On te drzewa tak kocha!

— I ja kocham! — zawołała z entuzjamem. — Wyrosłam z niemi. To moje druhy! Przyjaciele! Powiernicy! Znam najmniejszą krzewinę, strumyk, grzyb, ziele, drzewa. Wiem kiedy się rozwijają, kiedy gubią liście i spilki, w którym dniu, w jakiej godzinie. Mój bór! mój las! gaj święty!

— Wiem, ja to dobrze wiem — przyznał jegomość. — Dlatego może do tej pory nie dałaś mi grosza zarobić?

— Dlatego i nie dlatego — odszepnęła.

— Nie ganię ja cię — poderwał szybko poczciwina — masz czas! Wartaś dobrego losu!

— E — ot! dziewczynam!

Nauczyciel słuchał zdumiony. Głos jej słodki, dziwne na nim wywierał wrażenie, jak gdyby budził jakieś echa odległe, dźwięki zapomniane, coś z czaru zostawionego mu przez dobrą wróżkę u kolebki. Może był to skutek wieczerzy wigilijnej? Może. Ale w miarę, jak posuwali się dalej pod wygwieżdżonym namiotem błękitnym, bez blasku księżycowego, który dopiero około 2-giej miał wzejść z tarczą, kontury jej postaci przybierały coraz więcej fantastyczności — a obraz jadalni plebańskiej z wszelkimi dodatkami zacierał się powoli.

Przed samą debrą, duży pies rzucił się im pod nogi, za nim wyszedł Wasyl leśny.

— Sława Jezusu Chrystu! — powitał księdza pokornie.

— Wo wiki. A co tam? — spytał tenże.

— Jednako. Baba skwierczy jeno a skwierczy, a gębą nie poruszy.

Rzeczywiście siedziała biedaczka pod oknem niby statua, łakomstwo wyobrażająca, gdyż usta i oczy miala otwarte jak dzieci, które pragną dostać się do wiśni czerwonych. Na kominie paliło się łuczywo smolne, całą izbę wesoło oświecające. Garnki z jedzeniem stały nieuprzątane, mimo to schludno było i czysto.

Za radą pana Dolickiego pacyentce zaaplikowano potężny policzek aż rozgłos poszedł po izbie, bo wykonawcą był sam gospodarz; poczem szczęki jej wróciły do stanu pierwotnego.

— Chwała Bogu! — zawołał ksiądz radośnie. — Doskonała metoda! pierwszy raz ją praktykuję.

— I ostatni może — wtrącił nauczyciel. — Trzeba usta pomału otwierać — dodał w rodzaju przestrogi — a mniejsze gotować pirogi czy knysze.

Zawstydzona matrona dziękowała panom kilkakrotnie i przepraszała za fatygę w „Światy weczyr“. Później jednak, gdy jegomość odprowadzony przez Wasyla, odchodził, zdawało mu się, że czegoś w garnku szukała. Byłoż to przywidzenie?

VII.

Minęło kilka tygodni.

W chacie Wasyla ciepło i przyjemnie. Gospodyni, kaszląca, pod piecem drze pierze na wianowe poduszki dla córki. Matrona rozkłada miski na półce, a Warwarka przędzie nić cieniuchną z lnu białego.

Oj! to przędzenie! Kądziel jest gładka i zgrabna, bez „wiechy“ w góry i „bród“ na dole, przewiązana wstążką czerwoną. Przęślica wystrugana w kulki i „dziobki“. Przysiadka w ślimaczki rozmaite. Ale na wrzecionie, choć takie wartkie i cieńkie, mało ciężaru przybywa. Prządka młoda częściej nić pozostawia w palcach do wyschnięcia, niż na wrzeciono nawinie. Częściej także okiem na okno rzuci, niżeli na len miękki a biały. Siedzi wbrew przyjętemu zwyczajowi, tyłem do izby, co matce widocznie się nie podoba.

— Czemu ty dziecko od nas się odwróciłaś, by zagniewana? — odważa się spytać nareszcie.

Dziewczyna wstrząsła się cała.

— Ej — gdziebym tam była zagniewana na was mateńko miła! Ale widzicie, raźniej mi się tu przędzie, jak patrzę na moje drzewa, kury, kaczki.

Matka chciała odpowiedzieć, że właśnie po wrzecionie tego nie uważa — lecz zamilkła — bo czyż to ona nie jedynaczka w chacie zasobnej? Czy potrzeba jej przędziwa i pracy? Zresztą przypomniała sobie wiek młody, swoje myśli, „skazki“, kłopoty i przybliżyła się do okna.

(C. d. n.)

KAIN.

POEMAT.

Leconte de Lisle'a.

(Tłum. z franc. A. Lange).

(Ciąg dalszy).

A jego jasne włosy w wiatrach, jak rzemienie
Ulatywały z szumem, a koń biegł z tententem
A za nim z chrapliwym i długim lamentem
Biegło tłumem olbrzymim rozliczne stworzenie
Które żyje na ziemi i nad firmamentem.

Orły i lwy drapieżne, psy i gadzin mrowie,
Głodne sępy, niedźwiedzie, wilki i wilczyce
I behemoły grube, jako twierdz wieżyce
Biegły i przeklinały w swej syczącej mowie
Enochu, twą ponurą i straszną stolicę.

Ale syny aniołów spali w ciszy głuchej
A wielki rycerz wołał, stanąwszy na murze
„Biada tobie Enochio! biada'ć, pychy wzgórze!
Głodzić tego, co bunty knował od pieluchy
I którego przed czasem przeklął Bóg w lazurze!

Mogiło przeklętego! Dzień pomsty nadchodzi,
Morze huczy i wyje, a powierzchnia fali
Wnet wyżej ponad góry na ptastwo się zwali:
Zagłada ostateczna, straszliwa się rodzi
I siedem pieczęci niebios piorunami pali.

I dzika puszcza mówić będzie: „Czem się stała
Enochia podobna Gelboe kamiennej
Sęp i kruk mówić będą w swej mowie plemiennej:
„Gdzie twierdza co tu niegdyś strach na okół siała
Gród olbrzymi, o ścianie żelazem brzemiennej.

Zginiecie bratobójcy, przeklęci synowie!
Ani pyłu, ni kości z was nie pozostanie —
Oto już niecierpliwie zawyły otchłanie
Nad pokoleniem tego co w myśli i słowie
Nie chciał przed twą potęgą uklęknąć, o Panie!

O Kainie, Kainie! ty w noc bezpromienną
Jeszcze w łonie twej matki na wieki przeklęty,
Biada ci! Dotąd słońce pije krwi odmęty,
Co rozlała twa ręka maczugą kamienną
I wiecznie pić ją będzie z trumny twej zamkniętej.

Ty, nad którego cichym snem króluje pycha,
Nędzne ciało! Ty duchu, pomście dany wiecznej,
Któryś nie znał nadziei ni wiary słonecznej,
Biada ci! Pies szczęśliwszy, co za miastem zdycha,
W straszliwej ci twej zbrodni dojrzeć dał Przedwieczny.

Wówczas pod ciemnym szczytem twierdzy buntowniczej
Podnosząc czoło, tułów — i pierś i ramię
Pośród obelg i przekleństw zwolna wstał w swej jamie
Olbrzym, co go zrodziła na ten świat goryczy,
Ta, przez którą zginęły syny twe, Adamie.

Stanął wyprostowany w pościeli granitnej,
Gdzie, minęły już nad nim sześciowieczne lata
Jak usnął, by się więcej nie zbudzić dla świata —
I spojrzał w gęste mroki puszczy starożytnej
I na piersiach spoczęła jego pięść kosmata.

(C. d. n.).

NOWE PASTELE

przez

PAWŁA BOURGET'A.

I. Święty.

(Ciąg dalszy).

Nie potrafię w końcu oddać tego słowami, ani wytłómaczyć, ale była w postaci tego nieznajomego, cecha jakaś, czyniąca zeń typ niewątpliwie, nieuchronnie francuski. Krój ubrania, gest jeden, zamówienie objadu daje ci poznać rodaka. I będę miał odwagę wyznać, choćbym miał w ten sposób zadrasnąć, tak nazwany przez humorystę przedpokojowy patryotyzm, ale spotkanie takie, przeraża mnie raczej niż zachwyca. Zdawałoby się, że Francuz podróżujący wystawia najchętniej na pokaz najgorsze swoje wady, co czynią zresztą i Anglicy i Niemcy, tylko że wady Anglika, są mi obojętne, Niemca rozśmieszają, Francuz zaś zadaje mi ból głęboki, gdy widzę jak zachowaniem swojem osławia naszą drogą i dzielną ojczyznę. Ile razy w jakiej kawiarni włoskiej zauważyłem takiego przejezdnego Paryżanina, rozprawiającego na głos, i z blagierskiem zacięciem wyśmiewającego miasto, w którem się znajdował, lub to z którego przybywał, doznawałem zawsze przykrości na myśl o 20 przynajmniej słuchaczach, o których uszy obijały się te żarty, w po-

łowie tylko im zrozumiałe. Bo wprawdzie na dziesięciu cudzoziemców pięciu przynajmniej zna naszą mowę, ale jakże niewielu z nich znanym jest duch naszego języka, jak niewielu rozumie się na tych w gruncie niewinnych żartach. Jeden na stu może znajdzie się taki, a ztąd ileż niedorzecznych nieporozumień narodowych, powstaje i rozdraźnia się przez takie nierozważne gadaniny, podobnie jak przez artykuły gryzmolone bez złego zamiaru w wolnym zakątku dziennika.

Na szczęście dla moich nerwów, nieznajomy ów należał do rzadkiego, zdarzającego się jednak gatunku Francuzów milczących.

Zresztą towarzyszka pochłaniała w tak bezpodzielny sposób jego uwagę, iż zachowanie się to usprawiedliwiało chyba gwałtowną podejrzliwość miss Roberts.

Tajemnicza owa przyjaciółka miała mniej więcej lat 35, i jeżeli on powierzchownością swoją przedstawiał skończony typ Francuza z klasy mieszczańskiej, to ona znów była Włoszką, od maleńkich stopek, do maleńkiej główki, od rysów twarzy trochę przyostrych, aż do falbanek sukni, od rąk pokrytych bransoletkami, aż do koniuszka bucika o wysokim korku.

Czarne jej oczy, zwrócone na młodego człowieka, wyrażały silną namiętność.

Oboje nie domyślali się wcale, że są przedmiotem czyjejkolwiek uwagi. a lubo w wyrazie twarzy młodego człowieka malowała się pewna minkowatość i podejrzliwość, widok wzajemnego uczucia, wzbudził we mnie nagle sympatyę dla nich, tak dalece, że postanowiłem ich bronić wobec miss Roberts.

— Ona jest przynajmniej o 20 lat od niego starsza — twierdziła ta ostatnia.

— Przypuśćmy że 10 — przerwałem jej śmiejąc się — jest mimo to bardzo ładna.

— U nas nigdyby gentleman nie afiszował się w ten sposób z kreaturą, która tak mało umie być lady.

Wdzięczny jej byłem, że zdanie to rzucone głosem dobitnym wymówiła w języku angielskim, zatem mój młody rodak mógł jej nie zrozumieć.

Nie mogłem się jednak wstrzymać, może przez próżność, aby jej nie odpowiedzieć w temże narzeczu.

— Zkądże pani wie, że ona nie jest lady.

— Zkąd ja wiem? Za chęć popisania się znajomością angielskiego języka, zostałem natychmiast ukarany; sprostowała ironicznie moją prononcyacyę, powtarzając moje słowa. Patrz pan w jaki sposób je. Wyznać muszę, że w istocie w tej chwili, dwa osobniki rasy latyńskiej, nie zachowywały się bynajmniej według przepisów wykładanych przez guwernantki z poza la Manche. Oczekując na zupę, młody człowiek zabrał się do buteleczki Chremti, maczając chleb w winie, ona zaś wysysała plasterek cytryny wzięty z talerza.

W istocie kontrast między córami Albionu, jakby je nazwano w romansach z 1830 r. a temi dziećmi natury był zbyt uderzający. Lękając się swego usposobienia do śmiechu, wstałem natychmiast po obiedzie, razem z Niemcami, Medyolańczykiem, krewnymi oficera i samymże oficerem.

Przypuszczałem, że moje sąsiadki nie omieszkają pójść za moim przykładem, co się też i stało, i tak czuła para została sam na sam, pod niesurową opieką kelnera o koralowych guzikach.

Było trochę mojej zasługi w tem nagłem opróżnieniu sali, bo wietrzyłem już temat do romansu w zetknięciu się przeciwieństw, jakiem było zestawienie młodego Francuza z tą Włoszką. Ale już do śmierci nie przestanę w takich razach pełnić bez wyrzutów sumienia roli szpiega., roli, którą nowocześni pisarze nazywają poszukiwaniem dokumentów, i szczycą się nią, jakby fachową cnotą.

Wkrótce zapomniałem prawie o dwojgu mniej więcej morganatycznych biesiadnikach, rozmyślając o freskach odkrytych przez dom Griffiego, i o sposobie dostania się do klasztoru.

Udałem się do bióra hotelowego, aby rozmówić się o tej małej podróży z sekretarzem eks garibaldyjczykiem, nadzwyczaj dumnym z przeszłości, w której należał do słynnego tysiąca bluz czerwonych. Nie przeszkadzało to mu jednak zajmować się najgorliwiej rozsyłaniem wody gorącej pod 6-ty, lub herbaty pod 11 numer.

— Rząd jest nadto pobłażliwy dla tych konspiratorów — wołał o biednych zakonnikach, zamiast objaśnić mnie jaką drogą, jakim pojazdem, i za jaką cenę dostać się mogę do ich klasztoru.

Moje przyjaciółki Angielki, jeździły dyliżansem, a część drogi odbyły pieszo. W końcu udało mi się otrzymać od kawalera Dante Annibale Cornahini (tak się nazywał towarzysz broni bohatera) obietnicę, że woźnica przez niego wybrany. oczekiwać mnie będzie z lekkim powozikiem na *tocco.* Co za ładne wyrażenie, i godne tego wrażliwego ludu. Znaczy to jedno uderzenie młotka, a także oznacza pierwszą godzinę po południu, czyli jedno uderzenie zegara.

Wychodząc z bióra, gdzie posążki brązowe generała w bluzie i Mazziniego w surducie, tronowały pod hotelowymi anonsami, ujrzałem nagle przed sobą wczorajszego młodzieńca. Zdawał się oczekiwać mnie, i zbliżył się do mnie nie bez wdzięku.

Zresztą jaki autor zapatrywałby się surowo na postępek nieznajomego, który wypowiada mu mniej więcej taki frazes:

— Panie, wyczytałem pańskie nazwisko na liście cudzoziemców, a ponieważ czytałem wszystkie jego dzieła, pozwalam sobie. (C. d. n)

ŻONA ARTYSTY *).

Alfons Daudet, który sam jest, nawiasem mówiąc, najszczęśliwszym mężem i przyznaje, że dopiero od czasu ożenienia się tworzy swe najlepsze oraz większe utwory, napisał szereg nowel, objętych wspólną klamrą z napisem: „Żony artystów“. Ich myśl przewodnią wypowiedział w prologu: „Czy artyści powinni się żenić? Odpowiedź wypada przecząca. W tej rozmowie dwu przyjaciół: malarza i poety, — maskę pierwszego z nich przywdział sam Daudet — pada ostro i stanowczo, jak piorun, wykrzyknik: „Artyści nie powinni się żenić!“ A gdy poeta, kandydat do stanu małżeńskiego, chce zbić dowodzenie malarza jego własnem, szczęśliwem pożyciem, malarz woła, że to tylko wyjątek, nader rzadki od powszechnej reguły.

— Pierwsze i najgorsze niebezpieczeństwo — praw malarz — ożenku, to prawdopodobna utrata, a przynajmniej osłabnięcie talentu. Dla artysty jest to przecież rzeczą pierwszorzędną. Chciej zważyć, iż pomijam tutaj zupełnie wszystkie zwykłe okoliczności życiowe, wyznaję nawet otwarcie, że małżeństwo przeważnie jest wyborną instytucyą, a większa część mężczyzn z tą dopiero chwilą zaczyna naprawdę robić interesy i oszczędzać, gdy zakłada rodzinę, lub gdy ta ostatnia się powiększa. Bywają nawet wypadki, kiedy małżeństwo koniecznie musimy zawrzeć ze względu na nasz byt. Notaryusz-kawaler byłby u nas zjawiskiem niemożliwem. Każdy dopatrywałby się w nim braku potrzebnej powagi, pożądanego spokoju. Dla nas atoli malarzy, literatów, rzeźbiarzy, kompozytorów — dla nas wędrujących nieco w oddali od głównej drogi życia; dla nas obserwatorów i twórców, a więc zmuszonych odłączać się od tłumu, by go

*) Stanisław Grudziński. Powieść obyczajowa. 1891.

z odległości, podobnie, jak obraz, lepiej spojrzeniem ogarnąć — dla nas, powtarzam, małżeństwo niech stanowi wyjątek, nie zaś prawidło. Dla takich istot nerwowych, porywczych, wrażliwych, ustawicznie zmiennych, jak my artyści — zowią nas przecież z owej przyczyny wielkiemi dziećmi — byłaby potrzebną kobieta bardzo odrębna, a że tak rzadko można ją napotkać, więc lepiej jej nie szukać.

Tutaj nasz malarz robi skok dalej, gdyż twierdzi, że ani druga strona nie jest szczęśliwą. „Żony dróżników kolejowych częściej się uśmiechają, aniżeli żony artystów!“ Być ładną, dobrą i mądrą — to jeszcze nie wystarcza do poślubienia artysty; trzeba jej taktu niezmiernie przenikliwego i olbrzymiej dozy poświęcenia!

Ostatecznie Daudet nie może rozstrzygnąć kategorycznie owego zagadnienia, gdyż, jak powiedziałem wyżej, jego szczęśliwe pożycie, jego „Pani Daudet“, ów wyjątek tak radośny, każdemu może nasunąć myśl: „A dlaczegożbym ja również nie odkrył podobnego wyjątku, który opromieni mi życie i podnieci mą twórczość do dalszej, a obfitej działalności“.

Ową drugą część problematu czy kobieta może zaznać trwałego szczęścia w związku małżeńskim z artystą podjął przed laty kilku Stanisław Grudziński i ucieleśnił w „Żonie artysty“, powieści, drukowanej wówczas przez „Kłosy“, a obecnie wydanej w książce.

Pamiętam, że utwór ów czytałem z numeru na numer bardzo gorączkowo z przyczyny temperamentu niesłychanego, werwy, wdzięku i poezyi, bijących z postaci głównych bohaterów: Horskiego, malarza, jego żony Hali, panny Bronisławy Miłoradzkiej, babci Haliny, Mizerskiego, jego córki i jego żony. Szczególnie ów artystyczny kontrast, jaki istniał między Haliną, dobrą, łagodną, kochającą istotą, a Miłoradzką, demonem raczej, aniżeli kobietą, demonem, żądnym zdobyczy, hołdów i uścisków, palących jak żar, zajmował i mnie samego i tych wszystkich, którzy wówczas kolejne odcinki powieści przebiegali okiem.

Nie wiem, czy Grudziński znał nowele Daudeta — a choćby i tak było, to jeszcze nie potrzebował pożyczki, bo poetów tej miary, jak zmarły, zawsze stać i na samodzielne pomysły i na własną obserwacyą. I on niejednokrotnie wypowiada przez usta osób, biorących udział w akcyi, zdanie, że żona artysty prawie nigdy nie może być szczęśliwą, oraz odwrotnie, że prawie zawsze artysta żonaty zwolna zabagnia swój talent.

— To nie wesoło być żoną artysty. Bodajby to śliczne dziecko nie żałowało — gaworzy jedna z kumoszek, obecnych na ślubie Haliny.

— Mówiono mi nieraz — prawi sama Halina — że żona artysty męczennicą bywa za życia, a ja marzyłam o takiem męczeństwie.

— Życie rodzinne — kracze złowróżbnie Mizerski — nie jest dla artysty i albo musi pozostać artystą, a wtedy nie będzie dobrym mężem i ojcem; albo poświęcić się uczciwie obowiązkom rodzinnym, a wówczas zginie, jako artysta. Nie ma innego punktu wyjścia!... Żona artysty! — dodaje w kilka minut później — ha! toż to powinna być doskonałość wcielona, by mogła nas zadowolnić zupełnie. A jeszcze pytanie, czy nie mielibyśmy za złe takiej tego właśnie, że jest doskonałą!

A co już Mizerska powtarzała o artystach oraz niedoli ich żon, tego i odwagi nie mam pdwtarzać, boć może rozdzieliłbym tem niejedną zaręczoną parę, w której On jest artystą. Sam Grudziński wreszcie przechylił się także na stronę Mizerskiej. Losy i koniec Haliny, złamanie energii życiowej, tudzież talentu twórczego w Horskim dowodzą, że i on podzielał jej zdanie. A mogę śmiało napisać: podzielał zdanie, Grudziński bowiem nie jest przedmiotowym malarzem obyczajów, jak realiści i naturaliści francuscy, którzy wiernie odtwarzają rzeczywistość, nie wdając się w jej ocenę. On przeciwnie nie umie zniknąć z przed oczu czytelnika; to tu, to tam wysuwa się na pierwszy plan, przemawia wprost od siebie, jak gdyby chciał zaznaczyć, iż w beletrystycznym utworze autor stanowi rodzaj chóru greckich tragedyj, chóru, który miał objaśniać i uprzedzać słuchaczów o zbliżaniu się ważnych wypadków. Aby cofnąć się poza tło i tłum bohaterów, aby podjąć się roli cicerona, niejako, w galeryi „dokumentów ludzkich“, nasz poeta był za butnym i za gorącym.

Pamiętam go dobrze jeszcze przed laty ośmnastu, czy siedemnastu. Było to w Krakowie. Grudziński popołudniową porą przychodził do staroświeckiej kawiarni Wielanda, położonej przy Rynku Wielkim, niedaleko ulicy Grodzkiej. Zakład ten mieścił się na pierwszem piętrze domu, o którym podanie niosło, że należał ongi do słynnego Wierzynka. Tutaj właśnie miała odbyć się owa sławna uczta monarchów, uczta, z której książęta kieszenie, pełne złota, do domu przynieśli. Czy podanie mówiło prawdę — nie wiem; dom przecież, bądźcobądź, nosił, szczególniej wewnątrz, znamiona sędziwego wieku. Schody duże, kamienne, o stopniach niskich, a wyszczerbionych, wspierały się na ogromnych, grubych, żelaznemi spoidłami wzmocnionych kolumnach. Gdyś wszedł tam, mimowoli zapominałeś, że o kilka kroków ztąd na Rynku liczą drugą połowę wieku XIX; tutaj witało cię co krok stulecie czternaste. Grudziński, bardzo przystojny wówczas i bardzo żywy młodzieniec, o powierzchowności nader pociągającej, miał w kawiarni ulubione miejsce. Ostatni pokój, wolny od bilardów, mieścił w sobie t. zw. czytelnią. Pokój był bardzo duży, a w głębi kończył się nyżą, kędy widniał stół spory, zarzucony setką gazet. Młody poeta, rzadko sam, najczęściej zaś otoczony gronem towarzyszów, do których należał między innymi Kaźmierz Gliński i Kaźmierz Bartoszewicz, obaj również dopiero zdobywający ostrogi literackie, zajmował ostatni mały stoliczek, ustawiony tuż pod oknem, z którego otwierał się piękny widok na Rynek, kościół św. Wojciecha, stare, obstawione kramami Sukiennice, dawny, dzisiaj już zwalony odwach, pałac pod Baranami; aż wreszcie w przedłużeniu ulicy św. Anny wzrok chwytał kawałek plant zielonych, wtedy także jeszcze zapuszczonych i niedbale utrzymywanych. Tutaj to przy tym stoliku młódź literacka żarliwe wiodła dysputy, kłóciła się i zwalczała; sądy, przycinki, opinie, żarty, dwuznaczniki, niby szmermele lub bomby nad oblężonem miastem co moment wylatywały z ust biesiadników, raczących się „czarną“ lub „kapucynem odwrotnym“, stosownie do usposobienia. Wylatywały one... i wpadały do uszów niżej podpisanego, który będąc wówczas nader młodziutkim gimnazistą, zakradał się z bijącem sercem do kawiarni, by formalnie pożerać już wtenczas przez niego ulubione gazety. Był to zaś czyn nielada śmiały, bo w razie schwytania na gorącym uczynku przez którego z nauczycieli groziła co najmniej koza. Szczęściem niedaleko stolika Grudzińskiego stał inny jeszcze mniejszy, nieco przysłonięty wieszadłem; gdy palt nazbierało się sporo, mogłem spokojnie czytać lub słuchać tak upragnionych dla mnie sprzeczek literackich. Z zazdrością, z podziwem spoglądałem na tych szczęśliwców, którzy już drukują swoje utwory. Nieznany przez tych wielkich, jak ich zwałem w myśli, brałem udział w ich rozmowie, jak potem cichaczem w ich losach.

Zwolna bowiem kółko się rozleciało.

Grudziński znikł mi z przed oczu; wiedziałem, iż przebywał we Lwowie, a potem przeniósł się na stały pobyt do Warszawy. W Krakowie pozostały po nim sympatyczne wspomnienia; pozostał także i nieruszany z miejsca ów kawiarniany stoliczek przy oknie, gdzie z biegiem lat trwożliwy gimnazista, zmieniony w dumnego z praw akademickich studenta, począł siadywać, niemal codziennie wspominając dawniejszego przychodnia. I los chciał, iż znowu w temsamem miejscu jęła się zbierać garstka młodych, którzy

marzyli o literackich tryumfach. I znowu zabrzmiały dysputy, sądy, dowcipy, dwuznaczniki, wszystko, jak było przed laty, tylko, że się i ludzie i upodobania literackie zmieniły.

Lecz jednego wieczoru, kilka lat temu, kółko uroczyście milczało, jeden tylko półgłosem czytał na temsamem miejscu, gdzie Grudziński jeszcze stosunkowo niedawno żył pełnem życiem, kipiał i wrzał ochotą do działania, nekrolog autora... „Żony artysty“.

Wnet potem i stara kawiarnia Wielanda zeszła z widnokręgu krakowskiego. Dzisiaj tam żyd meble używane sprzedaje na raty. *N.*

Z TEKI FANTASTY.

Głośny Stendhal, którego dwie powieści *(Rouge et Noir* i *Chartreuse de Parme)* przetłomaczono na język polski, miał umysł fantastyczny, a jednocześnie bardzo pozytywny. W rękopisach jego pozostał charakterystyczny urywek pod napisem: *Privilèges du 10 Août 1840*, gdzie myśl, wypływająca z fantastycznego szaleństwa, ujętą została w ścisłą formę prawniczą i rozwinięta systematycznie w paragrafy i artykuły, idące po sobie w liczbowym porządku. Ciekawy ten urywek znakomitego dyplomaty, sceptyka, psychologa, żołnierza, prawnika, antykwaryusza i fantasty — podajemy niżej w dosłownem tłomaczeniu.

* * *

Oby mi Bóg dać raczył dyplom następujący:

Art. 1. Nigdy poważnego cierpienia, aż do późnej starości. Wówczas zaś nie ból, lecz śmierć przez apopleksyę, w łóżku, w czasie snu, bez żadnego cierpienia moralnego ani fizycznego. Corocznie nie więcej nad trzy dni niedyspozycyi. Organizm i ciało bez zapachu.

Art. 2. Cuda następujące nie będą przez nikogo widziane ani podejrzywane.

Art. 3. Dwadzieścia razy rocznie uprzywilejowany może się zmieniać w istotę, jaką zechce, pod warunkiem, aby ta istota egzystowała. Sto razy rocznie będzie znał w ciągu 24 godzin język, jaki zapragnie.

Art. 4. Uprzywilejowany, mając pierścień na palcu i przyciskając go w chwili, gdy spogląda na kobietę, wywołuje w niej miłość namiętną w rodzaju tej, jaką Heloiza czuła dla Abelarda. Jeżeli pierścień jest nieco wilgotny, kobieta staje się tylko przyjaciółką czułą i oddaną. Jeżeli patrzy na kobietę i zdejmuje pierścień z palca, uczucia, wywołane na zasadzie przywilejów powyższych, mijają. Skoro uprzywilejowany patrzy na osobę, która go nienawidzi, i patrząc, pociera pierścień o palec, nienawiść zmienia się w życzliwość.

Cuda te mogą mieć miejsce 4 razy rocznie dla miłości namiętnej; 8 razy dla przyjaźni; 20 razy dla zakończenia nienawiści; 50 razy dla obudzenia prostej życzliwości.

Art. 5. Piękne włosy, piękna skóra, wyborne palce, nigdy nie zadrapane, zapach lekki i przyjemny.

1-go Lutego i 1-go Czerwca każdego roku, odzież uprzywilejowanego staje się, jakby po raz trzeci dopiero była noszoną.

Art. 6. Cuda w oczach tych, którzy go nie znają: uprzywilejowany będzie miał twarz generała Debelle, zmarłego w San-Domingo, lecz bez żadnej przywary. Będzie grał doskonale w wista, w écarté, w bilard, w szachy, ale nie będzie mógł nigdy wygrać nad 100 franków. Będzie strzelał z pistoletu, będzie się fechtował, będzie jeździł konno z możliwą doskonałością.

Art. 7. Cztery razy do roku będzie się mógł zmienić w zwierzę, jakie zechce; później zaś nanowo stać się człowiekiem. Cztery razy do roku będzie mógł stać się człowiekiem, jakim zechce; nadto będzie mógłześrodkować swe życie w życiu zwierzęcia, które w wypadku przeszkód ze strony człowieka, w którego uprzywilejowany się zmienił, powoła go nanowo do formy naturalnej. W ten sposób uprzywilejowany będzie mógł cztery razy do roku zajmował dwa ciała, za każdym razem na czas nieograniczony.

Art. 8. Gdy uprzywilejowany będzie trzymał na palcu w ciągu dwóch minut pierścień, który przedtem miał wzrok stach, stanie się on niedotykalnym od strzałów na czas, który sam określi. Dziesięć razy do roku będzie miał wzrok orli, i będzie mógł w biegu czynić pięć mil na godzinę.

Art. 9. Codziennie o godzinie drugiej po północy znajdzie on w swej kieszeni jednego napoleond'ora, a nadto kwotę czterdzieści franków w drobnych, w monecie kraju gdzie się znajduje. Sumy, które mu zostaną ukradzione, odnajdą się następnej nocy o godzinie drugiej rano, na stole, przed nim. Zbójcy, w chwili, gdy go zechcą zasztyletować, lub podać mu truciznę, ulegną ośmiodniowej, ostrej cholerze. Uprzywilejowany będzie mógł skrócić te cierpienia, mówiąc: Modlę się, aby cierpienia tego a tego minęły, lub zostały zmienione na takie a takie cierpienie. Złodzieje ulegną ostrej dwudniowej cholerze w chwili, gdy zamierzą popełnić kradzież.

Art. 10. Na polowaniu, ośm razy rocznie, mała chorągiewka pokazywać będzie uprzywilejowanemu, na godzinę odległości — dziczyznę, ukrytą w lesie, i ścisłe jej legowisko. Na chwilę przedtem, zanim dziczyzna ujdzie, chorągiewka stanie się świecącą. Naturalnie, chorągiewka ta będzie niewidzialną dla wszystkich, oprócz uprzywilejowanego.

Art. 11. Chorągiewka podobna pokazywać będzie uprzywilejowanemu posągi, ukryte pod ziemią, pod wodą i za murami: jakie są te posągi, kiedy i przez kogo rzeźbione, i jaką mają wartość po odkryciu. Uprzywilejowany będzie mógł dowoli zmieniać te posągi na kule ołowiane, wagi $^1/_4$ uncyi. Cud z chorągiewką i zmianą kolejną posągu na kulę, będzie miał miejsce tylko ośm razy do roku.

Art. 12. Koń, którego uprzywilejowany używa już to do wierzchowej jazdy, już to do powozu, nie będzie nigdy chorował i nigdy nie upadnie. Uprzywilejowany będzie mógł z tem zwierzęciem się połączyć w ten sposób, że go natchnie swoją wolą i udzieli mu swoich wrażeń. W ten sposób uprzywilejowany, siedząc na koniu, stanowić będzie jedną z nim istotę. Zwierzę, złączone w ten sposób z uprzywilejowanym, będzie posiadało siły potrójne w stosunku do tych, jakie ma w stanie zwyczajnym. Uprzywilejowany, zmieniony naprzykład w muchę i siedząc na orle, stanowi jedno z tym orłem.

Art. 13. Uprzywilejowany nie będzie mógł kraść; gdyby próbował, ręce odmówiłyby mu posłuszeństwa. Będzie mógł zabić dziesięć istot ludzkich rocznie; ale żadnej istoty, z którą rozmawiał. W pierwszym roku będzie mógł zabić jednego człowieka, jeżeli jednak rozmawiał z nim nie więcej, jak dwa razy.

Art. 14. Gdyby uprzywilejowany chciał opowiedzieć komu którykolwiek z artykułów swego przywileju, usta jego nie byłyby w stanie wydać ani jednego dźwięku, i miałby ból zębów w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Art. 15. Jeżeli uprzywilejowany, kładąc pierścień na palec, wyrzecze: Modlę się, aby wyginęły szkodliwe owady: natychmiast w promieniu 6 metrów od pierścienia pozdychają owady wszelkich gatunków. Są to pchły, pluskwy, wszy najrozmaitsze, komary, muchy, szczury i t. d. Węże, żmije, lwy, tygrysy, wilki i wszystkie zwierzęta jadowite — w przerażeniu uciekną i oddalą się na milę drogi.

Art. 16. W każdem miejscu, skoro uprzywilejowany wyrzecze: Modlę się o pokarm, znajdzie on przed sobą: dwa funty chleba, befsztyk dobrze wysmażony, gigot *idem*, salaterkę szpinaku *idem*, butelkę wina Saint-Julien, karafkę

wody, owoc odpowiednio do pory, porcyą lodów i filiżankę kawy. Modlitwa taka wysłuchaną będzie po dwakroć w ciągu 24 godzin.

Art. 17. Dziesięć razy rocznie, na swe żądanie, uprzywilejowany nie chybi ani strzału fuzyi, ani pistoletu, ani jakiejkolwiek broni. Dziesięć razy rocznie będzie on władał bronią z siłą dwa razy większą, niż ten, z którym wypadnie mu walczyć lub siły próbować: ale nie będzie mógł zadać rany, powodującej śmierć, lub cierpienie trwalsze nad sto godzin.

Art. 18. Dziesięć razy rocznie, uprzywilejowany na swe żądanie, będzie mógł zmniejszyć o trzy czwarte cierpienia człowieka, którego ujrzy. Jeżeli ten człowiek będzie bliski śmierci, będzie on mógł przedłużyć jego życie o dziesięć dni, zmniejszając o trzy czwarte jego cierpienia obecne. Będzie mógł on na swe żądanie otrzymać dla tej istoty umierającej śmierć nagłą i bez cierpienia.

Art. 19. Uprzywilejowany będzie mógł zmienić psa na kobietę, piękną lub brzydką; kobieta poda mu ramię i będzie miała dowcip pani Ancilli i serce Melanii. Cud ten będzie mógł się powtarzać 20 razy rocznie.

Art. 20. Uprzywilejowany nie będzie nigdy nieszczęśliwszy, niż był od 1 sierpnia 1839 do 1 kwietnia 1840. Dwieście razy rocznie uprzywilejowany będzie mógł zredukować swój sen do dwóch godzin, które jednak dadzą rezultaty fizyczne ośmiu godzin. Będzie on miał wzrok rysia i lekkość Debureau'a.

Art. 21. Dwadzieścia razy rocznie uprzywilejowany będzie mógł odgadnąć myśli wszystkich ludzi, znajdujących się na dwadzieścia kroków od niego. Dwadzieścia razy rocznie będzie mógł widzieć, co czyni w danej chwili osoba, o której pomyśli. Wyjątek absolutny co do kobiety, którą najbardziej kocha. Również wyjątek co do czynności brudnych i wstrętnych.

Art. 22. Uprzywilejowany nie będzie miał żadnej innej monety prócz swych 60 franków codziennych, na zasadzie wyżej zaznaczonych przywilejów. Sto pięćdziesiąt razy rocznie będzie mógł uzyskać na swe żądanie, iż dana osoba zupełnie o nim zapomni.

Art. 23. Dziesięć razy rocznie uprzywilejowany będzie mógł być przeniesiony w miejsce dowolnie obrane, w stosunku stu mil na godzinę. Podczas przenoszenia będzie pogrążony we śnie.

Tutaj kodeks się urywa: mógłby jednak ciągnąć się w nieskończoność. Jest on raczej charakterystyczny dla jego temperamentu, niż serca. Są to wszystko pragnienia naiwne, epikurejskie i bardzo samolubne. Podajemy jednak ten ciekawy dokument, jako tyczący się jednego z najoryginalniejszych pisarzy naszego wieku.

MISCELANEA.

*** Nadesłano nam piękne tłómaczenie głośnego dramatu Fr. Coppe'ego pt.: „*Ojcze nasz*“, dokonane przez ks. dra M. Barabasza, wicerektora seminarjum polskiego w Detroit Mich (Stany Zjednoczone). Rzecz ta ma być wkrótce wystawioną w Krakowie.

*** Nakładem księgarni G. Gebethnera i Sp. w Krakowie, wyszedł tom nowel prof. Czesława Pieniążka pt.: „*Szare godziny*“. Zbiorek ten znajdzie ocenę w „Myśli“.

*** Jan Kasprowicz napisał nowy poemat pt.: „Il amore sesperato“.

*** L. W. Szczerbowicz wydał ciekawą pracę pt.: „Gwara warszawska w spółczesnym języku literackim“.

*** Studja nad Dantem, pióra rosyjskiego literata L. Szepielewicza, wychodzą obecnie w Charkowie. Autor, zajmujący się badaniem literatur średniowiecznych, daje w pracy powyższej część swych wyników, zmierzających ku wyjaśnieniu treści „Boskiej komedyi“.

*** Herman Ling, znany poeta liryczny w Niemczech, napisał sztukę pt.: „Gleiche Rechte“, którą grać ma berliński teatr Lessinga.

*** Muzyk Metzdorff w Hanowerze, napisał operę pt.: „Hagbart i Signe“.

*** W Lipsku wystawiono z powodzeniem komedję Eugenjusza Zabla i Dernburga pt.: „Vaterland“.

*** W Monachium na wystawie prac uczniów Akademii otrzymali dyplomy pochwalne: Sylweryusz Saski z Krakowa za studya malowane pod kierunkiem prof. O. Saitza i Wł. Pochwalski, (brat Kazimierza) kształcący się pod kierunkiem prof. Wagnera.

*** W Paryżu wyszło studyum F. Paulhana pt.: „Le noureau mysticisme“.

*** Nową powieść znanego pisarza Sewera (Maciejowskiego) pt.: „Dzielna kobieta“ drukuje warszawskie „Ateneum“.

*** „Teść“, komedya Abrahamowicza i Ruszkowskiego, doznała powodzenia na scenie warszawskiej.

*** Dnia 15 b. m. rozpoczął się sezon zimowy teatru krakowskiego przedstawieniem dramatu St. Kozłowskiego: „Kazimierz Wielki i Esterka“. P. Antoni Siemaszko i pna Ziembińska zaliczeni zostali na nowo w poczet artystów sceny tutejszej.

*** Druk powieści Rawity (Gawrońskiego) pt.: „Obca krew“ rozpoczęła „Gazeta lwowska“.

*** W Warszawie zmarła w tych dniach głośna niegdyś artystka tamtejszych teatrów śp. Józefa Kurejuszowa (Estella).

*** Ceniony kompozytor: Jan Gall, podróżuje obecnie po Hiszpanii i Portugalii.

*** Nakładem ruchliwej Księgarni Polskiej we Lwowie wyszła w tych dniach opowieść na tle galicyjskiem z roku 1880 w 9 księgach pt.: „*Jan Prorok*“, pióra zaszczytnie znanego pisarza p. Alfreda Nossiga, autora „Tragedyi myśli“ i „Króla Syonu“. O książce tej pomówimy obszerniej. Tymże nakładem ukazało się dziełko Sidneya Webba pt.: „Socyalizm w Anglii“ w tłómaczeniu p. J. H.

*** Panna St. Dzirytówna, adeptka sztuki dramatycznej, znana z debiutów na scenie hr. Skarbka we Lwowie, gdzie talent jej krytyka miejscowa nader sympatycznie oceniła — ukaże się na deskach naszego teatru dnia 17 b. m. w komedyjce J. Kościelskiego: „Dzienniczek Justysi“. Pannę Dziryt pozyska prawdopodobnie teatr krakowski na stałe.

*** Teatr hr. Skarbka wystawi wkrótce krotochwilę Fredry (syna) pt.: „Nowy Don Kiszot“, ilustrowaną muzyką Z. Noskowskiego. Tamże zapowiadają gościnę pani Zimajer i Rapackiego (syna).

*** W ostatnim zeszycie „Ekonomisty Polskiego“ znajdujemy między innemi pracę Dra Czerkawskiego Włodzimierza pt.: „Ruch społeczny a socyalizm“. (Z powodu dzieła „Historya ruchu społecznego“ przez Bolesława Limanowskiego).

OD WYDAWNICTWA.

Przypominamy naszym kwartalnym przedpłacicielom, że czas odnowić prenumeratę, dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu pisma.

ŁAMIGŁÓWKA.

Głoski pierwsze z góry na dół, a końcowe z dołu w górę przeczytane, dadzą nam imię i nazwisko męża, znanego z czasów konstytucyi 3go Maja 1791 r.

aaaaaaaaaddeeeeghiiiiijkkkklllllłłmmnnnnnnoooooooóóórrsssss ssssśttttttuuuuuuwwyyyzzzz.

1. Wielkie, wzniosłe, ludzie mają,
Co o szczęście kraju dbają.
2. Często widać ten u dzieci,
Choć na bagno także wzleci.
3. Ten z kiełbasą lub z potrawką,
Podniebienia jest zabawką.
4. Ten bez głowy jak głaz leży,
Żaden puls w nim nie uderzy.
5. Ono w twojej widzisz chacie,
I ty, królu, w swej komnacie.
6. Ten załatwia sporne sprawy
Wpośród wielkiej często wrzawy;
Zwykle na wsi burmistrzuje,
I tam panem on się czuje.
7. Ten jest niski, lub wysoki,
A ma zwykle cztery boki;
Rzecz to straszna na nim stawać,
Na nim z życiem się rozstawać.
8. Gdy człowieka ono boli
Znajduje się, jak w niewoli;
A gdy zgiąć go już nie może,
To i doktór nie pomoże.
9. Aż w Arabii ten się zrodził,
Krwawą drogą głównie chodził;
Gdy na Wiedeń się zakradał,
Nasz Sobieski cios mu zadał.
10. Choć nóg nigdy niema w świecie,
On na stole stoi przecie;
Strawą smaczną napełniony,
Jest nam zawsze upragniony.
11. Śmieszne zwierzę, słowo daję;
Nazwę jego ten dostaje,
Kto rozumem zbyt nie grzeszy,
Wpośród szkolnej małej rzeszy.
12. Ksiąg wydawca to wspaniały,
Lecz w Paryżu zamieszkały.
13. Wiele złego nam zrobiły,
Bo się znacznie przyczyniły
Do nieszczęścia Polski drogiej,
Rozszarpanej przez jej wrogi.
14. Gdy jest zręcznie wykonany
Z pola bitwy, jak ów znany
Xenofonta, wart wspomnienia;
Gdy przeciwnie — zapomnienia.
15. Rzym je święcił z pompą wielką;
Niewolnicy wtenczas wszelką
Mieli wolność: z panem pili,
I z nim także się bawili.
16. Gdy cię ten spotka, a zasłużony,
Nie będziesz pewno tem obrażony.

(Ułożył Józef Kropiwnicki).

Kto pierwszy nadeśle dobre rozwiązanie łamigłówki otrzyma, jako nagrodę: „Złote Myśli“ Adama Mickiewicza.

Z powodu wyjazdu p. K. Bartoszewicza do Pragi — nie mogliśmy w dzisiejszym numerze zamieścić stałego fejletonu pt.: „Wolne Myśli“.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. J. B. w K. Rozprawka dla nas nieodpowiednia. Prosimy o pofatygowanie się do redakcyi.

P. Reginie P. Tej noweli zużytkować nie możemy.

P. Leonowi F. w N. Szkoda czasu i papieru.

P. Anieli L. we Lwowie. Dokładnych informacyj udzieli Sz. Pani redakcya „Gazety“.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**